Rok IV. Kraków, dnia 9. Stycznia 1910 r. Nr. 2.




TYGODNIK OBRAZKOWY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Wychodzi na niedzielę.

**Przedpłata:** Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli“, Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

# KOLĘDA, SZOPKA, JASEŁKA.

Nietylko młodzież, ale i starsi oczekują z niecierpliwością chwili, gdy z szopką, lub gwiazdą będą mogli pójść od domu do domu, aby uczcić Dzieciątko, a przytem zabawić się wesoło.

Wyraz kolęda pochodzi od łacińskiego wyrazu: „*Calendae*“, (mów: Kalende), a oznaczali nim Rzymianie pierwszy dzień każdego miesiąca. Ponieważ takim najważniejszym pierwszym, jak dziś tak i dawniej, był pierwszy dzień roku, czyli Nowy Rok, przeto one *Calendae* noworoczne obchodzono uroczyście. Dawniej jednak nowy rok nie rozpoczynał się z dniem 1 stycznia, ale 25 grudnia, stąd według zwyczaju rzymskiego, nazwano w Polsce ten czas, od Bożego Narodzenia, kolędą. Od tego poszło, że pieśni wesołe, swojskie a nabożne, śpiewane od Bożego Narodzenia aż do Gromnic, zowią także kolędami.

Jakkolwiek zwyczaj chodzenia z kolędą jest bardzo dawny, cel tej kolędy z postępem oświaty zaczyna się zmieniać. Dawniej uzbierane grosze zużywano na pijatyki i rozpusty, dziś zaś w wielu wsiach grosz ten obracają na cele użyteczne, jak sprawienie czegoś do kościoła, na zakupno książek w czytelni, na ubrania dla biednych dzieci szkolnych itp. Takim kolędnikom nie żal dać grosza!

Oprócz kolęd zaprowadzono w 18 wieku jasełka najpierw w Warszawie, a następnie w Krakowie i całej jego okolicy. Były to przedstawienia Narodzenia Chrystusa Pana urządzane po kościołach.

Z czasem wyrzucone z kościołów, przeniosły się rychło, jako szopka, na ulicę w ręce ubogiej młodzieży. Ile tam, oprócz rzeczy tyczących Narodzenia Pańskiego, było rzeczy śmiesznych, mogących każdego ubawić!

Dziś zatraca się zwolna ów zabytek przeszłości, spuścizna przodków idzie w zapomnienie i wielu szopkę zna tylko z opowiadania. W zachodniej części Galicyi jeszcze częściej możemy spotkać szopkę, we wschodniej prawie jest nieznaną.

A przecież wielka jej szkoda! Jakże to miło było, gdy nas nawiedzili kolędnicy z szopką dużą, ze skrzypkami i basami i zanucili:

Pastuszkowie, braciszkowie,
Przebóg, wstajcie, posłuchajcie
Coś wam opowiem.

Słyszę jakieś głosy,
Aż mi wstają włosy
Na głowie, na głowie.

Wówczas nie miała granic radość nasza. Wsłuchiwaliśmy się z błogością w śpiewy kolędników, podziwialiśmy króla Heroda, czarownicę, żyda i inne figury, a niemniej różne dowcipy, jakie w ich imieniu chłopiec ukryty za szopką wygłaszał.

Wszystko to jednak idzie w zapomnienie!....

Ale jak na starym wyrębie leśnym dbały leśnik zasadza natychmiast młode sadzonki, tak na miejsce martwej szopki poczynają wchodzić w życie żywe jasełka.

Ludzie poprzebierani za osoby działające w czasie Narodzenia Pana Jezusa, prowadzą ze sobą stosowne wyuczone rozmowy, śpiewają piosnki i t. p. Oczywiście rzeczy te stokroć piękniejsze, niż dawne szopki.

Zależy tu dużo od tego, kto takie jasełka układał. Napisało ich dużo pisarzy polskich, nawet znakomitych i sławnych. Te oczywiście są najpiękniejsze.

Jasełka przedstawiają w czasie od Bożego Narodzenia aż do Gromnic po wielkich miastach, po miasteczkach i po wioskach. Nie mamy dość słów do zachęty, aby w każdej wsi polskiej, choć raz na rok urządzono jasełka.

Redakcya *Roli* z całą przyjemnością wskaże każdemu, ktoby chciał wiedzieć, tytuły najlepszych jasełek, oraz gdzie takie książeczki i po jakiej cenie nabyć można.

# Krzyżacy na Litwie.

## III. MŁODY OFIARNIK.

Nieznani przybysze. — Przed ołtarzem Znicza. — Rozmowa z ofiarnikiem. — Przybycie arcykapłana. — Prośba starca. — Lezdejko zgadza się. — Tajemnicza rozmowa przybyszów. — Napomnienie i pożegnanie. — Służba w świątyni młodego ofiarnika. — Srogi Jerbut.

W jednym z takich obchodów, po rannych ofiarach, gdy kapłani w mieszkaniach swoich używali wczasu, a świątynia Znicza była już próżną, wszedł do niej nieznajomy starzec, prowadząc za rękę pięknej urody młodzieńca. Włosy jasne, w lekkich pokrętach z ramion mu się toczyły, a wzroku bystrość smutne łagodziło wejrzenie.

Przewodnik jego, wiekiem schylony, lecz czerstwy i żywy jeszcze, z oblicza i odzieży zdał się być prostym człowiekiem. Był to żwawy i krępy staruszek, którego postawa, chociaż niewielka, okazywała jednak, iż, jak to mówią, nie dałby sobie przewodzić. Zszarzałe zaś chodaki, wytarty płaszcz i kij spory, którym się podpierał, świadczyły, że z dalekiej strony przychodził.

Obaj, wszedłszy do świątyni, rzucili naprzód wzrokiem po ścianach, okrytych różnego rodzaju bóstwami, z których jedne stały na podstawach i słupach, inne świętsze, złotem i srebrem świecące, wyglądały górą ze swoich kryjówek i pieczar. Zbliżyli się zwolna do ołtarza stojącego pośrodku, na którym tlał ogień, oddali pokłon Zniczowi i, położywszy na stopniach młode koźlę w dani, czekali w milczeniu na zapytanie.

Ofiarnik, czyniący przy ołtarzu służbę, siedział w bliskości, trzymając w ręku widły żelazne do poprawiania ognia i drzemał spokojnie ze zwieszoną na piersi głową. Nikt się w świątyni nie krzątał, cichość w niej panowała głęboka, czasem tylko parsk iskry lub mocne śpiącego chrapnięcie, przerwało milczenie.

Dwaj nieznajomi często poglądali po sobie, nie wiedząc, czy mają ofiarnika przebudzić, czyli też czekać, aż sam się do nich odezwie. Ukazał się nakoniec wychodzący z głębi świątyni odźwierny, zbliżył się do nieznajomych i pytał, czego żądają? Starzec odpowiedział z pokorą, że chciałby mieć szczęście kilka słów powiedzieć Krywekrywejcie. Na ich głos obudzony ofiarnik, przecierając oczy, począł mruczeć na natrętność ludzi, domagających się zawsze mówienia z naczelnikiem wiary.

— Jam go jeszcze w życiu nie widział — odpowiedział przybyły starzec. — Dwa dni drogi podjąłem, żebym twarz jego świętą oglądał i widzieć się muszę z Krywekrywejtą koniecznie.

— Tak jest, zapewne, widzieć się muszę koniecznie — powtarzał leniwym głosem ofiarnik — to wasza mowa zwyczajna. A ja powiadam, że nic z tego. Krywekrywejte dziś już do świątyni nie przyjdzie, trzeba było wstać raniej. Teraz jest na zamku u księżnej matki, napróżnobyście na niego czekali. Krywekrywejte jutro do Kiernowa wraca i może dopiero za pół roku tu będzie. Jeżeli wasze ofiary są tak wielkiej wagi, możecie je przed zastępcą złożyć. Pójdź bracie do Jerbuta i powiedz mu, że dwaj nieznajomi przyszli z ofiarami.

Odźwierny, zabrawszy koźlę, odszedł w głąb gmachu. Widać było, że to rozporządzenie w niesmak poszło starcowi; poznał, w jak złą wybrał się się porę i że przerwanie snu ofiarnika było przyczyną tak nieprzyjaznego przyjęcia. Spojrzał na towarzysza i zdał się go pytać oczyma, ale spokojny wzrok młodzieńca nie dawał żadnego znaku odpowiedzi. Tymczasem ofiarnik, poprawiwszy na ołtarzu ogień, znów zamykał powieki, gdy zniecierpliwiony starzec w te się odezwał słowa:

— Służba wasza, mój ojcze, musi być trudną. Lud was, prawda, szanuje, ale siedzieć tak ciągle na jednem miejscu, parzyć się przy ogniu, niebardzo musi być wygodnie. Myślę, że wam nieraz dokucza pragnienie? O! wiem i ja dobrze, co to upał i niewygoda! Człowiek niemało zwiedził już świata. Więc i w tę drogę puszczając się, choć to tylko mil kilkanaście, wziąłem z sobą zapas kowieńskiego lipcu*), bo z tamtych stron jestem. Chociaż się w drodze nie żałowało, została mi jeszcze większa połowa baryłki; jeśli może być godnym świętych ust waszych, to proszę.

Dobywszy z pod płaszcza sporą baryłkę, nalał w czarkę i pił do ofiarnika. Na widok złotopłynnej cieczy, rozweseliła się twarz jego. Zaniechał spania, pochwalał przezorność podróżnych i w łagodniejszą wdał się rozmowę. Gdy już nieco popili, prosił go starzec, aby resztę lipcu na pokrzepienie sił przy służbie Znicza chciał zachować. Miły był duchownemu ten pobożności datek, nie dał się długo prosić i odbierając baryłkę, zapewniał nieznajomego, że jakiekolwiek przynosi żądania, bogowie pewnie go wysłuchają.

Rozmawiali ochoczo dość długo, aż wreszcie udobruchany całkiem ofiarnik powiedział, by przybysze poczekali do zachodu. Gdy Krywekrywejte przyjdzie na wieczorne modlitwy, to się z nim rozmówią do woli.

Młodzieniec przez cały ten czas dawał znaki najżywszej niecierpliwości. Oczy jego ciągle były zwrócone na drzwi, przez które miał wejść zastępca. Czasem tylko z politowaniem pojrzał na ofiarnika i cichem westchnieniem zdał się litować jego gadaniny.

Wieczorem Lezdejko, dowiedziawszy się, że dwaj nieznajomi usilnie żądali z nim mówić, zbliżał się do świątyni, otoczony licznym pocztem sług i ofiarników. Najstarsi z kapłanów nieśli go w krześle, okrytym złotolitą materyą.

Zatrzymawszy się starzec na zwykłem miejscu, naprzód zaprowadzony został przed ołtarz, żeby cześć winną oddał Zniczowi. Młodzieniec podziwieniem zdjęty, patrzył na niego z daleka. Włos biały, postać wysoka, białą szatą okryta, blade oblicze, wzrok przygaszony i wyraz dobroci na twarzy wyryty, niepojęte w jego sercu rodziły uczucia. Po krótkiej modlitwie Krywekrywejte żądał, aby przychodnie byli przed niego stawieni.

— Witajcie przyjaciele! — rzekł do nich uprzejmie — niech będzie łaska bogów z wami! Jeśli was nie poznaję, nie bierzcie mi za złe. Już od lat kilku oczy moje coraz gorzej mi służą i ledwo pozwalają dojrzeć, co mię najbliżej otacza. Powiedzcież mi, jakie są wasze żądania?

— Ojcze światłości! Pierwszy stróżu Znicza — rzekł starzec, nizki pokłon mu oddając — racz nie gardzić moją ofiarą. — Od najpierwszej młodości syn mój, którego tu przywodzę, okazywał w sobie gorącą chęć poświęcenia się usłudze bogów; lata wzmagały w nim coraz bardziej tę żądzę. Stronić od ludzi, twarde wieść życie, dzień i noc trawić na

*) Kowno, stolica Żmudzi. „Lipcem" nazywano dawniej miód lipcowy.

czuwaniu przy ogniu, te jego były jedyne zabawy. Dwadzieścia lat kończy i coraz bardziej nastawa, żebym go stawił przed wami, prosząc o przyjęcie w liczbę sług Znicza. Bogowie wiedzą, jak wielką czynię ofiarę. Przyjmcie go zatem, niechaj im służy, lub gdy go nie uznacie godnym świątyni, wróćcie mi mocą świętości waszej, żebym go usposobił do świata.

— Powiedzcie mi naprzód — odpowiedział Lezdejko — zkąd jesteście i jak się zowiecie? Mowa wasza nie jest mową stron naszych.

— Mieszkam mil piętnaście od Wilna, niedaleko Kowna, w okolicach puszczy Zielonej. Nazywam się W s z e b o r, mam włókę*) gruntu i sto włók lasu, które mi nadał przesławnej pamięci książę Olgierd w nagrodę lat, spędzonych przy nim z orężem. Myślałem, że mój syn Trojdan pójdzie w ślady ojcowskie i ten kawał ziemi zagospodaruje porządnie; ale, jak widzę, inaczej o nim radzą bogowie.

— Niechaj szanowaną będzie ich wola! — odpowiedział Lezdejko. — Oni najlepiej umieją godne sobie dobierać ofiary. A ty, młodzieńcze, czy nic nie masz do zarzucenia ojcu twojemu?

T r o j d a n, przenikniony uszanowaniem, bez wahania się jednak odpowiedział, że Krywekrywejte, świadomy myśli ludzkich, zna pewno najlepiej szczerość powołania jego.

— Dobrze — przerwał Lezdejko — ale gdybym uznał, że świętszą jest powinnością zostać przy ojcu, niż wchodzić w obowiązki ołtarza i gdybym odrzucił twoje żądanie? — Wspomnij tylko, jesteś jedynakiem...

— Gdyby Znicz nie przyjął mojej ofiary — rzekł ze śmiałą ufnością młodzieniec — poszedłbym szukać przychylniejszego bóstwa. Kto wie, może udałbym się do tych, których jęczące dzwony głoszą chwałę pana między Rusiny i Lachy.**) A gdybym i tam nie był zrozumiany, możebym obrócił, kędy dwurożny księżyc jest znakiem domów modlitwy.***) Gdybym zaś jeszcze nie został przyjęty, szukałbym głębokiej na puszczy jaskini i zawsze znalazłbym sposobność odłączenia się od świata.

— Ale cóż cię mogło tak na świat oburzyć? — zapytał Lezdejko. — W twoim wieku on same ponęty nastręcza. Może się unosisz zemstą nierozsądną? Może cię miłość nieszczęśliwa zraniła? Przyznaj się, jeśli tak jest, wracaj do domu; wracaj, mój miły, ja każę złożyć bogom ofiary na pocieszenie twoje.

Na wspomnienie udręczeń świata, twarz Trojdana okrył lekki rumieniec, a oczy zwróciły się ku ziemi.

— Nie znam żadnych udręczeń — rzekł.

— Dobrze, mój miły — odpowiedział Lezdejko. — Bogowie się cieszą z twego postanowienia. Ale mi powiedz, sąż ci dobrze znane powinności nasze? wydołająż twe siły służbie, którą na całe życie zaciągasz? Trudny to jest zawód! Będziesz musiał przez oznaczony czas pełnić obowiązki stróża i każdemu podlegać, nim wyjdziesz na ofiarnika. Wtenczas dopiero staraniu twemu oddane będzie czuwanie nad świętym płomieniem. Wielki to jest obowiązek i wielkie za niedbałość kary.

— Nie trwóż się o całość bóstwa, mój ojcze— odpowiedział młodzieniec. — Przyjdzie czas, kiedy słuszność mi oddasz, a teraz, racz mnie już przyjąć w poczet sług bożych.

*) Włóka, tyle co 30 morgów. Ziemia była wtedy mało co warta, las prawie nic.

**) Mowa tu o chrześcijanach.

***) Nów jest znakiem mahometan: Turków, Tatarów itd.

Lezdejko, uściskawszy Trojdana, dał rozkaz obleczenia go w szatę początkującego. Natychmiast ofiarnicy otoczyli go kołem i w głąb mieszkań swych wiedli. Łzy radości ukazały się w oczach młodzieńca.

Patrzył z bolęścią ojciec na syna i wzrokiem smutku wyrzucał mu, ale Trojdan, szczęściem swem tylko zajęty, znikał mu z oczy bez zgryzoty i żalu.

Po odejściu młodzieńca Lezdejko, zostawszy z kilku kapłanami, pocieszał Wszebora, zapewniając, że syn jego drugiego znajdzie w nim ojca, lecz gdyby w przeciągu półrocza okazał chęć powrotu do domu, bez żadnej trudności odesłany będzie. Ale kto się poświęca usłudze bogów — mówił Lezdejko — błogosławieństwo ich sobie zapewnia, bo nieprzyjaciele zewsząd na nich powstają, a Wilno coraz więcej chrześcian liczy.

— Jeżeli mój syn ma bogów zostać podporą, niechże się z nim stanie wola ich święta — odpowiedział Wszebor.

— Ja przecież myślę, odezwał się jeden z kapłanów — żeśmy już stanęli na tym stopniu pewności, na którym nam ni Krzyżaków, ni Lachów lękać się nie trzeba. Wilno dobrze obwarowane; ci zaś kilkudziesiąt, co się wnęcili do miasta, nie o to starają się, żeby wiarę chrześcijańską szerzyć, lecz żeby odbyt mieli na towary i roboty swoje. A że święcą niedziele swoje i na modły chodzą do mnichów, niemniej przeto jasno gore nasz płomień; zresztą, kiedy taka wola Jagiełły, żeby chrześcian znosić, trudno jej się sprzeciwić.

— Nie kilkudziesięciu, lecz kilkuset chrześcian znajduje się w stolicy, a w kraju bez liku — rzekł inny. — Jagiełło zna ich dobrze i pewnieby dawno z Litwy ich wykurzył, ale mają dobre plecy za sobą w pańskich braciach, co się pochrzcili. Teraz, póki Jagiełło na wojnie, siedzą cicho, ale niechno wróci, trafią znów do niego i może jeszcze za pomocą opiekunów swoich świeże sobie wyrobią swobody.

— Zapewne — odezwał się inny — znów mu przyniosą jakie wynalazki, zaczną go nauczać, jak zmuszać wiatry i wody, żeby obracały żarna, jak rolę uprawiać, jak hodować trzody, to jeszcze może wyżej głowy podniosą i więcej swych kolegów naprowadzą do Litwy.

— A nie możnaby też wiedzieć, kiedy spodziewany Jagiełło z wyprawy? — zapytał Wszebor.

— Trudno z pewnością powiedzieć — odpowiedział Lezdejko — zależeć to będzie od pomyślności oręża, a że się dotąd nieźle mu wiedzie, spodziewać się trzeba, że go powitamy wkrótce.

— Podług ostatnich doniesień — rzekł Lezdejko — nasi ciągle byli zwycięzcami i gnali ich wszędzie przed sobą. Jagiełło ogniem i mieczem przeszedł sandomierską ziemię i ciągnął prosto do Krakowa.

— Jagiełło sandomierską przeszedł ogniem i mieczem? — powtórzył zadziwiony Wszebor. — Żwawo się uwinął! *) Czy tylko to prawda?

— Czy tylko to prawda! — powtórzył jeden z kapłanów. — I czemużby Jagiełło nie mógł być w sandomierskiej ziemi?

— Nic pewniejszego — odpowiedzał Wszebor. — Mnie o to tylko idzie, że mam krewnych na pograniczu, a wiadomo, że wojna równie swoich, jak cudzych nie szczędzi.

*) Z Wilna do Sandomierza liczą około 150 mil.

Ponieważ to była chwila zachodu słońca, Lezdejko pożegnawszy Wszebora, kazał się prowadzić na wieżę, ażeby ukazaniem się swojem ucieszyć pobożny naród, który się zebrał na dziecińcu świątyni. Nim się starzec oddalił, Wszebor prosił, aby mu pozwolono raz jeszcze widzieć się z synem i dać błogosławieństwo ojcowskie. Chętnie na to przystał Lezdejko, owszem zapewnił Wszebora, że ile tylko razy zechce go odwiedzić, zawsze mieć będzie wolny przystęp.

Po wyjściu Lezdejki świątynia na nowo próżną została, a ofiarnik służbę czyniący, podług zwyczaju do snu się zabierał. Wszebor, złożywszy na krzyż ręce, pogrążony w myślach, stał w oddaleniu, czekając na ukazanie się Trojdana. Po chwili ukazał się młodzieniec, ubrany w czarną długą szatę, z ostrzyżoną głową, przepasany szerokim rzemieniem; zupełnie inną miał postać, niż przed chwilą.

Starzec wziąwszy go pod rękę, prowadził w kąt najodleglejszy. Tam obejrzawszy się obaj dokoła, jak gdyby się lękali być podsłuchani, zaczęli swobodniej rozmawiać.

— Tak jest — rzekł Trojdan — stało się. Już krok pierwszy zrobiony, moja dusza spokojniej teraz oddycha. Spodziewam się, że zamiary moje niebo pobłogosławi, bo są czyste i niezachwiane. A ty, mój ojcze, wracaj do domu, jak gdybyś o niczem nie wiedział, ukrywaj twe kroki i nie przychodź, aż o wiadomym czasie. A nadewszystko n i e z a p o m n i j s k a r b u m o j e g o!

— Młodzieńcze — rzekł z groźbą starzec — raz ci jeszcze powiadam, zastanów się, co czynisz. Najpiękniejsze opuszczasz nadzieje, zawieszasz życie na włosku, dom okrywasz żałobą. Słuchaj, okoliczności się zmieniają, Jagiełło z wojskiem jest już u Krakowa.

— Być może — rzekł spokojnie Trojdan — ja się jednak nie cofnę. Wracaj do domu, mnie zostaw na mojej drodze.

— O nieba! na cóżem cię słuchał? Spojrzyj tylko na te okopciałe ściany, na tę społeczność okropną, na tę dzikość obyczajów i życia, wspomnij tę rozkoszną krainę, którąś tak niewdzięcznie opuścił, na pagórki winem i gaikami zielone, na niebo czyste, uciechy dworu i łzy miłej dla ciebie dziewicy. Pomyśl, jak wychowany w szczęściu i wygodach, żyć tu potrafisz? Każde tu twoje słowo może być twym nieprzyjacielem. Nigdy sobie nie będę mógł darować, żem cię tu zawiódł.

— Nie trwoż się, wiesz, kto jest moim aniołem.

— Co za przewidzenie! Żebyż ten anioł wiedział przynajmniej, ile czynisz dla niego. Czyż nie dość jeszcze wycierpiałeś? kiedyż cię te marzenia opuszczą? cóż ja w domu powiem?

— Powiedz, żem się zaciągnął do wojska, lub też, żem siadł w Gdańsku na okręt, powiedz, co ci się podoba, byleś nie mówił, żem się tu dostał. P a m i ę t a j n a d e w s z y s t k o n a h a s ł o n a s z e!

— Ale co tobie hasło o kilkaset mil pomoże? Kiedy cię na stos prowadzić będą, żebyś sto haseł wykrzyknął, ja ci pewnie w pomoc nie przyjdę. Tu nie hasło, ale nogi trzeba mieć w pogotowiu! Nie wiesz, Jagiełło mieczem i ogniem przeszedł Sandomierską ziemię!

— Cóżkolwiek bądź, nic moich zamiarów nie zmieni.

— Chłopcze — rzekł starzec z gniewem — żebym cię tak nie kochał, zobaczyłbyś, jakbym ci łatwo z głowy wszystkie te szały wypędził. Masz jeszcze pół roku czasu. Spodziewam się, że prędzej ci jeszcze przyjdzie rozum do głowy. Szczęście ma rogi, bieda ma nogi. Bo wreszcie, gdybyś był najpilniejszy, najostrożniejszy i najnabożniejszy, jedno zapomnienie się, jedna najmniejsza okoliczność, może się zgubić na wieki!

— Więcbym zginął i nic więcej. Ale się nie lękaj, ja żyć będę, żyć, żebym się cieszył prac moich owocem. Bądź zdrów, pamiętaj o dniu, w którym mamy się zobaczyć, a nadewszystko pamiętaj, ż e b y m s k a r b m ó j d r o g i w c a ł o ś c i z r ą k t w o i c h o d e b r a ł!

— No, no, skarb cię ten może prędzej na tamten świat wyprawi. Drżę cały, kiedy pomyślę, że on się dotąd w mym domu znajduje. Zmiłuj się, przynajmniej postępuj ostrożnie, mów mało, a nadewszystko ucieczka, skoro tylko niebezpieczeństwo spostrzeżesz.

— Dobrze — rzekł czule młodzieniec, podał starcowi rękę, ścisnął dłoń jego serdecznie i już zniknął w cieniach słupów świątyni.

Wszebor został przez chwilę samotny, nakoniec zbliżył się do ołtarza, pokłonił się Zniczowi, pożegnał ofiarnika i opierając się na kiju, wyszedł ze świątyni.

* * *

Tymczasem Trojdan zaczął się zajmować obowiązkami nowego stanu. Umieszczono go naprzód w orszaku początkowej młodzieży i oddano pod dozór J e r b u t a, rządcy świątyni i zastępcy Krywekrywejty.

Był to człowiek surowy, zrzędny i nieubłagany. Postać jego wychudła, policzki zapadłe i wzrok ponury, dostateczne były z pierwszego wejrzenia dać wyobrażenie o cierpkości jego umysłu, którą zawsze gorliwością obowiązków okrywał. Jego żarty rubaszne miały coś zwierzęcego, a wesołość podniecona trunkiem, zuchwałym go tylko w udręczeniach czyniła. Nietylko drżała przed nim młodzież świątyni, ale i starzy kapłani i ofiarnicy strzegli się na gniew jego zasłużyć; bo najmniejszą karać niepilność miał sobie za rozkosz najmilszą. Szczęściem, że kaszel suchy, który wieczne w jego piersiach zdał się zakładać mieszkanie, jak grzechotka węża ostrzegająca, zdaleka zawsze zbliżenie się jego objawiał. Wtenczas każdy miał się na baczności, a jednak rzadko przygany uniknął.

Poznał go Trojdan, i starał się postępowanie swoje tak starannie do jego umysłu stosować. Ale nieubłagany zwierzchnik znajdował, że nowicyusz nie dość jest obeznany z prawidłami religii, że powołanie jego światową traci marnością i że nie tyle jest pokorny, ile w swym stanie być powinien. Ztąd go spotykały częste napomnienia, przygany, nawet ciężkie pokuty. Niezrażony Trojdan temi przeciwnościami, umiał je znosić z męztwem i uległością. Pod jego dozorem świątynia starannie była zamieciona, on do niej najpierwszy przybywał i ostatni wychodził; niczego nie opuszczał, co tylko mogło ściągnąć pochwałę zwierzchnika; nic mu jednak nie posłużyło do zwrócenia jego przychylności.

Tak przykładne postępowanie, jeśli uchodziło baczności Jerbuta, nie mogło być obojętnem dla kapłanów i ofiarników. Pomagała Trojdanowi do pozyskania umysłów nietylko jego pilność i łagodność obyczajów, lecz i piękna postawa, skromne ułożenie i głos przyjemny. Ale te korzyści nie mogły mu nagrodzić uprzedzonego zwierzchnika niełaski i trapił się, aby nieżyczliwe jego doniesienia nie zniszczyły w przekonaniu Lezdejki dobrego o nim mniemania, na które szczególniej starał się zasłużyć.

## IV. RYCERZ SŁOMIANY.

Na zamku wileńskim. — Księżna matka i księżniczka córka. Dziewica-rycerz. — Potrójne zwycięztwo. — Rycerz słomiany. — Gniew księżniczki. — Nieszczęśliwa walka. — Smutek Akseny. — Jej rozmowa z Pojatą. — Wyznanie księżniczki. — Co radziła Pojata. — Powrót z wojny.

Już się czytelnik w poprzedzającym rozdziale dowiedział, że Jagiełło z wojskiem znajdował się na wyprawie przeciw Polakom. Wszystka prawie młodzież litewska, książęta bracia jego i co tylko było ludu zdatnego do boju, poszło z nim dzielić trudy i zyski wojenne. Starzy tylko rycerze pozostali na zamkach pod dowództwem Wojdyły, powiernika i ulubieńca księcia, który straż grodów i rząd Litwy miał sobie oddany. A lubo żadne niebezpieczeństwo nie zdało się grozić w tej porze stolicy, niemniej jednak Wojdyło w jak najściślejszym stanie obrony trzymał zamki wileńskie. Nie można było atoli brać za złe tej ostrożności Wojdyle. Znał on dobrze powinność strażnika, a nadewszystko wiedział sposób wojowania w tej epoce, w której wszystkie zwycięztwa po większej części zależały od zręcznego podejścia i oszukania baczności nieprzyjaciela.

Jagiełło miał matkę, księżnę Olgierdową, szanowną panią, która po śmierci męża, dziedziczne swe ziemie zdawszy na dzieci, w Wilnie z córką przy starszym synie mieszkanie obrała. Nie zaniedbywał Jagiełło niczego, czem tylko mógł pobyt ukochanej matce w swym domu jak najprzyjemniejszym uczynić. Zajmowała księżna część wyższą dolnego zamku, skąd widok na Wilię, miasto i gaje święte za rzeką, miłem jej mieszkanie czynił. A chociaż ród jej był znakomity i mnogie po mężu dostatki, księżna znacznie w wieku podeszła, mało dbając o powierzchowną wystawę i stroje, pokój, wczas i ciepło nadewszystko lubiła. Modły i pobożne z kapłanami rozmowy najmilszą jej były zabawą.

Najtkliwszym jej czułości celem była jej córka Aksena*) która nie we wszystkiem odpowiadała staraniu matki. Wychowana z dziecińsiwa pośród swych braci, dzieląc ich męzkie rozrywki, nabrała wcześnie przeciwnych płci swojej nałogów, które w niej następne lata, mimo matki zabiegów, w przyrodzoną zamieniały skłonność. Wszystko w niej oddychało męztwem i walecznością. Choć jej nie zbywało na gładkiem licu i słodkiem spojrzeniu, postać jej wysoka i mocna, głos donośny i zręczność do broni, w pięknym rynsztunku, dzielnego z niej wystawiały rycerza.

Częste gonitwy na zamkach, na które zjeżdżała się młodzież najznakomitsza Litwy, nastręczały sposobności popisywania się orężem. Wtenczas okryta zbroją, ze spuszczoną na twarz przyłbicą, dumna i niepoznana, występowała na dzielnym rumaku, wyzywając najwaleczniejszych rycerzy, zwyciężała, a dawszy się poznać, ze zwyciężonych wesołe żarty czyniła.

Jeżeli jej matka smuciła się tak niewczesnemi tryumfy, Jagiełło, którego bawiła siostry waleczność, nie przestawał jej zagrzewać w rycerskim zawodzie, dając jej nieraz nazwisko prawdziwej Gedymina wnuczki. Częste waleczności dowody, pochlebne dworu oklaski i Jagiełły wesołe pochwały, w pychę unosząc dziewicę, zupełnie ją obojętną czyniły na związek, mający jej los przyszły zapewnić. Wielu z książąt i panów o jej odzywało się rękę, ale nikt nie mógł dotknąć zimnego serca.

*) Prawdziwe jej imię Marya.

Matka, nie widząc sposobu uleczenia córki ze słabości, namawiała i prosiła rycerzy, żeby jej wcale w boju nie oszczędzali, spodziewając się słusznie, że raz upokorzona miłość własna, ustąpi miejsca godniejszym uczuciom i czułość jej zwróci do lepszego celu. Właśnie przed odjazdem Jagiełły do Polski, zgromadzona w Wilnie młodzież, mając czynić popis z orężem, nastręczała do tego pożądaną sposobność. Księżna Olgierdowa, wiedząc dobrze, że Aksena nie opuści tej chwili, użyła tej okoliczności do wystawienia naprzeciw niej trzech dzielnych rycerzy, którzy mieli zawstydzić jej męztwo. Znajdował się między nimi książę Daniel, siostrzeniec Kiejstuta, pan znakomity, który oddawna starał się podobać Aksenie. Bój był zacięty: dwaj, jeden po drugim rycerze, mimo najszczerszych chęci i usiłowania, pokonani przez mężną dziewicę, ustąpić z placu musieli. Przyszła kolej na księcia Daniela; czynił, co mógł, żeby wyjść z walki szczęśliwie i strzegł się nacierać, a starał się zręcznie jej razów uchodzić; lecz pokonany, pomnożył liczbę smutnych poprzedników.

Już dumna potrójnem zwycięztwem księżniczka radość swą głośnym objawiała śmiechem, gdy ujrzała występującego z tłumu naprzeciwko siebie rycerza, którego osobliwszy rynsztunek wszystkich przejął podziwieniem. Nie zdawał się on wcale mieć na sobie żelaza, chociaż był jak najdoskonalej podług rycerskich przepisów uzbrojony. Pancerz jego w łuskę karpiową był misternie złożony z białych płatków słomianych, w sposobie, jak dzisiejsze damy noszą w lecie kapelusze; pawie pióra gdzieniegdzie go stroiły. Wszystkie części zbroi były jak najdokładniej zrobione ze słomy, hełm z przyłbicą na twarz spuszczoną także, a wędzidlo i napierśnik konia, równie jak oręż i kopia, różami były okryte.

Nieznajomy rycerz, zbliżywszy się do Akseny, oddał jej ukłon orężem i zdjąwszy z ręki rękawiczkę bławatną, rzucił jej z uszanowaniem pod nogi. Na tak dziwne zjawisko, powstał w zgromadzeniu rozruch wesoły. Jedni z radości w ręce klaskali, drudzy wołaniem objawiali uciechę, ale Akseną inne miotały uczucia. Wesołość jej nagle zmieniła się w zacięte milczenie; wzrok się gniewem zapalił. Wiedziała dobrze, że dziwaczne uzbrojenie rycerza jest znakiem wzgardy i wyszydzenia jej męztwa. Wiedziała, że słomiany pancerz pęknie natychmiast pod jej żelazem i ukarałaby zuchwałość natychmiast, gdyby niepewną nie była, czyli się nie zhańbi, przyjmnując takiego dziwoląga wyzwania. Żarty nakoniec i przymówki przytomnych, niszcząc w niej obawę, skłoniły na stronę potrzeby spotkania się.

Kazała tedy swemu koniuszemu podnieść rękawiczkę i z całym gniewu zapędem uderzyła włócznią w rycerza; ale niewzruszony przeciwnik zręcznie kordem*) raz odwróciwszy, został po chwili nacierającym i wkrótce dał poznać, że jej wcale oszczędzać nie myśli. Latały na powietrzu pod ciosami orężów róży liście, pawie pióra i obudzały pocieszne okrzyki, które jeszcze bardziej gniew księżniczki wzmagały. Za powtórnem z obu stron natarciem, Aksena chwiać się zaczęła na koniu. Dzielny mąż, wkrótce z rąk jej wytrąciwszy oręż, mieczem ją przytłoczył do ziemi i gdyby chciał, życiaby ją był jednym razem pozbawił.

*) Kord, tyle co miecz.

Wtenczas poznała księżniczka, jak słabą była jej siła, a łzy niezwłocznie najlepiej tego dowiodły. Przelękniona matka przybiegła na ratunek, prosząc zwycięzcę o litość; ale zuchwały, nie wprzód przyrzekał odjąć miecz od piersi, aż pokonana przysięgnie, że więcej do walki rycerzów wyzywać nie będzie. Musiała się poddać Aksena okrutnej potrzebie.

Gniew, wstyd i żal naprzemian duszę jej dręczyły; ale nieznajomy zapaśnik nie chciał jej dłużej doświadczać, podniół księżniczkę, uchylił przyłbicy, a dając się jej poznać, prosił o przebaczenie. — Jakże wielkie było wszystkich zdziwienie, gdy w szczęśliwym rycerzu poznano W o j d y ł ę. Innemu zapewne nie uszedłby żart podobny, ale Wojdyło ufny był w łasce swego pana. Jakoż Jagiełło nie mógł się nacieszyć, że nauczycielem był jego kochany sługa, ale księżna Olgierdowa, chociaż rada z upokorzenia córki, niebardzo smakowała w tym pojedynku, gdyż wykonawca niewiele miał prawa do mierzenia się z księżniczką, a mniej jeszcze do czynienia sobie z niej żartów. Wojdyło bowiem był prostym z początku służalcem i tylko przez dowcip i okazałość postaci przyszedł do znaczenia na dworze.

Od tej pory upokorzona Aksena nie chciała więcej slyszeć ani o zbroi, ani o gonitwie. Zdarzenie to tak wielkim ją smutkiem przejęło, że cała jej żywość i wesołość w posępne zmieniła się milczenie. Unikała ludzi, a nadewszystko Wojdyły, ciągle zamykała się w swojej komnacie i w niej największą część dnia samotnie spędzała. Użył tej pory książę Daniel do odezwania się o jej rękę na nowo, ale Aksena z jawniejszą go jeszcze, niż wprzód, zbyła obojętnością.

* * *

Wkrótce Jagiełło — jak się wyżej rzekło — oddawszy rządy państwa Wojdyle, wyciągnął z wojskiem do Polski. Nieprzytomność jego i braci, z którymi największa część dworu opuściła Wilno, jeszcze bardziej powiększyły smutek Akseny. — Księżna, starając się córkę rozerwać, często ją wywoziła w rozkoszne miasta okolice. W każdy ranek pogodny, kiedy orszak kapłanów Znicza głosem trąb z ganków świątyni witał powstające słońce, księżna z córką, przytomne tej uroczystości, głos swój łączyły ze śpiewem ludu. Niekiedy w piękny dzień wybierały się do Trok, do starego księcia Kiejstuta. Czasem też zboczyły do gaju świętego. rozmawiały z dozorcą, oglądały mieszkające w cieniu drzew bożyszcza i same dawały pokarm poświęconym wężom.

Ale najmilszą była droga do Kiernowa, dokąd niekiedy na lekkim się Wilią puszczały baciku.*) Tam w domu Lezdejki znajdowały wszystko, co gościnność i myśl swobodna najmilszego dla serca mieć może. Jazda do Kiernowa najbardziej przyjemną była Aksenie. bo była pewną, że się zobaczy z córką Lezdejki, Pojatą, swoją najulubieńszą przyjaciółką. Ta, chociaż o kilka lat młodsza od Akseny, wychowana jednak starannie w zamiłowaniu cnót, skromna, łagodna, mogła lubą przynieść jej pociechę. Raz, tknięta mocniej jej smutkiem, ośmieliła się zapytać.

— Luba Akseno! — mówiła — twój smutek trapi mię tem dziwniej, że jego przyczyny raczej twój śmiech i żarty wzbudzaćby powinny. Jeśli cię twoje własne zdrowie i moja nie obchodzi spokojność, spojrzyj na matkę i patrz, ile ona cierpi dla ciebie. Powiedz mi, moja Akseno, cobyś mówiła o rycerzu, któryby rozpaczał dlatego, że siadłszy do kądzieli, wrzecionem mniej szczęśliwie obraca? Wierz mi, to jest właśnie twój przypadek. Wreszcie, wierz mi, póki będziesz się smucić, póty ludzie do twojej przegranej wagę przywiązywać będą; skoro śmiać się z nich zaczniesz, wszystko zginie z pamięci; bo wreszcie to jest rzecz przyrodzona, iż kobieta słabszą od mężczyzny być musi. Owszem, dziękowaćbyś powinna, iż cię bez szkody z tego boju wywiedli.

— Bez szkody! — rzekła smutnie księżniczka — nikt mej rany nie widzi, przecież niemniej ona głęboka. Jeżeli mię rozumiesz, nie będziesz pewnie dziwić się mym udręczeniom.....

— Księżniczko! — zawołała, rumieniąc się — Pojata, która domyśliła się, że Aksana kogoś kocha.

— Stało się, luba Pojato! on wie już, że jest kochany!

— Akseno! — rzekła przerażona Pojata — jakąż ci mogłabym dać radę?

— Nie chcę ni rady, ni użalenia — odpowie księżniczka — wszystkie twoje uwagi byłyby niewczesne; chcę cię tylko uwiadomić, com postanowiła i co niezawodnie wykonam. Wiadomo ci dobrze, że Wojdyło, wychowany w domu ojca mego, kochany był od niego, wzrósł pośród nas i w domowem pożyciu był od nas uważany prawie za brata. Nie chcę ukrywać, miłym mi był z dzieciństwa. Wtenczas to, pędząc za zwierzem lub goniąc na ostrze, wpoił w duszę moją to upodobanie rycerskich zabaw, które odtąd zostało lubą moją skłonnością. Ale czas następny, mieszcząc nas w granicach przeznaczenia naszego, położył między nami przedział i zniszczył tę słodką poufałość brata i siostry, która nas niegdyś łączyła. Matka moja nadewszystko, postrzegnąc zapewne skłonne nasze chęci, nie życzyła sobie, żeby się Wojdyło dłużej w mojej obecności znajdował. Powinność poddania się jej woli, obojętną mnie czyniąc na zabiegi tych wszystkich, którzy się o moją rękę starali, jeszcze bardziej mój umysł zwróciła do rycerskich zabaw. Wiesz, jak mało mię kosztowało zwyciężać najdzielniejsze męże. Chociaż nie znałam rycerza, który mnie pokonał, śród żalu i wstydu, miałam już pewny szacunek dla niego; lecz kiedy dał mi się poznać, kiedy podnosząc mię z ziemi, przebaczenia prosił, jakże pod udanym gniewem słodka radość ożywiała moją duszę! Wszyscy mniemali, iż zawstydzone męztwo i nienawiść stały się mego cierpienia przyczyną. Ach! żebyś wiedziała, jakich on używał sposobów, ile kar wytrzymać przyrzekał, żeby mnie przebłagać! Umiałam zagniewaną udawać i o to go najbardziej winiłam, że dziwacznem uzbrojeniem swojem chciał męztwo moje wyszydzić. Przysięgał mi, że cały ten nieszczęsny rynsztunek był dziełem Jagiełły i że go nic w życiu tyle nie kosztowało, jak dogodzenie w tem woli książęcej. Do nóg mych rzucając się, przysięgał, że życie sobie odbierze, jeśli mu łaski mojej nie wrócę; wspomniał przeszłych czasów szczęśliwość, uczynił wyznanie, i śród pomieszania mego i trwogi odebrał słowo wzajemności....

— Cóżeś uczyniła! wszak matka twoja ma ciągle na widoku księcia Daniela?

— Książę Daniel dawno już moją odebrał odpowiedź.

— Akseno! nic nie mam przeciw Wojdyle, ale jestże to mąż dla córki Olgierda?

— Rzuć te uprzedzenia, Pojato. Długoż będzie niewolniczo podległa płeć nasza męzczyznom?

---

*) Bat, duża łódź z żaglem.

Patrz na inne narody, wszędzie kobiety praw swoich używają. Litewska tylko dziewica, zamykana w głębi domu, wtenczas dopiero ukazuje się światu, kiedy ją wprowadzają dla oddania temu, który ją raczył wybrać za żonę. Pierwsza ten zwyczaj okrutny obalę, dając przykład, że ten będzie mym mężem, na którego padnie mój wybór. Przyznaję, że Wojdyło nie jest równy mi rodem, ale nie mniej ma serce cnotliwe. Gdyby żył Olgierd, możeby naszych stanów różnica nie była tak wielka! Wreszcie lata moje już mi dają prawo własną rozporządzenia wolą. Jagiełło lubi Wojdyłę, Skiergiełło mu sprzyja.

— Stań się wola bogów — rzekła Pojata. — Ja ci jednak radzę, wstrzymaj się z objawieniem twoich zamiarów; matka twoja, kto wie, jakby drogo opłaciła tę wiadomość. Jagiełło ma wiele mocy nad jej umysłem, jego naprzód trzebaby zyskać przychylność.

Aksena uznała ważność tej uwagi i przyrzekła przyjaciółce iść za jej radą. Czekając z utęsknieniem powrotu Jagiełły, jak najstaranniej ukrywała porozumienia swoje z Wojdyłą, których się księżna wcale nie domyślała; owszem, widząc uspokojony jej umysł, dziękowała bogom za uleczenie córki i zaczęła Wojdyle być wdzięczną jego tak skutecznej nauki.

* * *

W tym stanie były rzeczy na dworze księżny, kiedy nagle ukazały się w Wilnie zwycięzkie wojska przedniej straży Jagiełły. Dźwięk trąb, szczęk orężów i tysiączne głosy w jednej chwili ciche wprzód miasto zmieniły znów w gród ludny i huczny. Kilka dni trwały wojsk zwycięzkich przechody. Jedni wracali w lasy i osady, do siedlisk swoich, drudzy zajmowali zamki i grody.

Nareszcie ukazał się Jagiełło. Dzień był piękny, książę jechał konno śród braci i najznakomitszych wodzów, którzy poczet jego składali. „Górą nasz pan! górą Jagiełło" — zabrzmiało jednogłośnie miasto, i długo w różnych jego stronach ten okrzyk dawał się słyszeć. Zgromadzeni w stolicy panowie rzędem stanęli u bramy zamkowej i czołem bijąc przed księciem, pokłon mu oddawali. Księżna Olgierdowa przybrana w świąteczne szaty, w towarzystwie pań litewskich, błogosławiła przybyciu syna. Jagiełło zsiadłszy z konia, przywitał matkę i oddawał cześć Perkunowi, *) dziękując mu za pomyślność oręża. Słuchał potem Wojdyły, który mu w krótkości zdawał sprawę z rządów, i odbierał hołd od władz różnych miast i grodów. Wreszcie strudzony nagłym do Litwy powrotem, zabierał się książę do zamku na wypocznienie; wprzód kazał w całem wojsku otrąbić dzień, na który zebrane przez zwycięzców łupy składane będą do wspólnego podziału.

*) Bożek ognia i wojny.



## OBRONA CZĘSTOCHOWY.

Święto Bożego Narodzenia jest dla nas Polaków nietylko wielką uroczystością kościelną ku czci Dzieciątka Jezus, ale także pamiątką ważnej chwili w dziejach narodu. W dniu 25 grudnia 1655 odstąpili Szwedzi od murów Jasnej Góry, bronionej przez parę miesięcy pod opieką Panny Najświętszej przez Jej świątobliwego sługę, przeora Paulinów, księdza Augustyna Kordeckiego. Gdy cały kraj Szwedom się poddał, gdy ulegli wszyscy co się bronić mogli, a król Jan Kazimierz uciekać już musiał z kraju, on jeden, sędziwy zakonnik, nie uląkł się nawały wroga. Na czele garstki szlachty i żołnierzy, stanął do walki z nieprzyjacielem, który miał tłumy wojska i ogromne działa. Nie spał dniem i nocą, zachęcał do wytrwania, modlił się przed cudownym obrazem, aż udało mu się dokonać wielkiego czynu. Wojska luterskie ustąpiły. Gdy poszła wieść o tem po ziemiach polskich, cały kraj zerwał się do walki i wypędził najeźdźców. Podczas oblężenia, w chwilach, gdy działa szwedzkie najstraszniej rzucały pociski, O. Kordecki, chcąc dodać ducha obrońcom, wychodził na mury z procesyą i posuwał się naokoło fortecy jasnogórskiej pod gradem kul, z krzyżem świętym lub monstrancyą, odżegnując wroga.

# Hałas o Bank parcelacyjny.

Istniejący we Lwowie „Bank parcelacyjny“ zajmuje się, jak wiadomo, kupowaniem majątków ziemskich, które potem parceluje i włościanom sprzedaje. Obecnie ma Bank kupionej ziemi za 3 i pół miliona koron, ponieważ jednak emigracya do Ameryki na razie ustała i pieniądze stamtąd nie nadpływają, przeto trudno obecnie Bankowi ziemię sprzedawać. Rozumie się, że Bank sam nie miał całych $3^1/_2$ milionów majątku i że je musiał częściowo pożyczyć, gdy przeto obecnie odsprzedaż gruntów nie idzie, nie łatwo mu też jest płacić procenty i raty od owych pożyczonych milionów.

Wskutek tego Bank parcelacyjny jest w kłopotach. Gdyby swoich długów nie mógł zapłacić, otworzonoby do jego majątku konkurs, a to pociągnęłoby różne szkodliwe skutki; między innemi mogliby ponieść straty ci, którzy tam umieszczali wkładki oszczędności, a których sami włościanie złożyli około 700.000 K.

Należało więc Bankowi dopomódz, to jest dać mu odrazu tyle pieniędzy, aby on mógł najpilniejsze długi zapłacić, a potem nabytą przez siebie ziemię, spokojnie, bez noża na gardle, rozparcelować.

To się stało. Aby włościan uchronić od straty, poseł Kraiński, prezes Towarzystwa Kredytowego ziemskiego we Lwowie, zwołał zarządy wszystkich banków i właśnie w tym tygodniu uradzili, aby Bankowi parcelacyjnemu przyjść z pomocą. Jest więc nadzieja, że wszystko się dobrze ułoży i że żaden rolnik nie straci na Banku.

Czyn pana Kraińskiego jest bardzo obywatelski. Nie myślimy bronić i zasłaniać nadużyć, jeżeli jakie w Banku parcelacyjnym były. Ale swoją drogą powinna spaść kara na niedbałych i przestępców, jeżeli byli, a swoją drogą jest obowiązkiem, uchronić niewinnych od strat. — Tak pojął tę rzecz poseł Kraiński i inni wielcy rolnicy, poczuwający się do solidarności z małymi rolnikami i uważający za obowiązek przynieść pomoc małym rolnikom. Nie wszyscy tak postąpili.

Ponieważ w Banku parcelacyjnym rządzi jedno stronnictwo, więc inne stronnictwo które z tamtem walczy, w paru gazetach uderzyło na alarm, że Bank parcelacyjny bankrutuje, że tam rabują i t. d. Tak się nie powinno robić! Najpierw trzeba rzecz zbadać, a potem dopiero potępić. Jeżeli okaże się że robiono coś złego, trzeba nawet surowo potępić i wezwać sądu. Oprócz tego jednak w takich właśnie chwilach trzeba najpierw myśleć o pomocy, aby niewinni nie byli poszkodowani. Nie należy nie zbadawszy sprawy rzucać popłochu między tych, którzy z Bankiem mieli interesy, bo taki popłoch, to właśnie rujnowanie Banku.

Wszystkie też inne dzienniki polskie potępiły surowo postępowanie tych kilku pism, które napadły na Bank, i nie znając dokładnie sprawy, nie zbadawszy książek, krzyknęły, że Bank bankrutuje! Smutno jest, że ślepa nienawiść nie pyta o krzywdy, które niewinnym wyrządza, a chce tylko sobie samej dogodzić!

Nikt sprawiedliwy z pewnością nie zechce kryć i usprawiedliwiać nadużyć, jeżeli się to okaże, że je popełniali dyrektorowie w Banku parcelacyjnym. Jeżeli im to będzie dowiedzione, to trzeba głośno mocno żądać ukarania winnych, oddania ich do sądu. Ale przedtem wszystko trzeba zrobić, aby ci włościanie, co mieli zaufanie do Banku, nie stracili na tem ciężko zapracowanego grosza. Da Bóg, że tak będzie!

# Daję słowo!

Chcę wam dzisiaj pieśń zaśpiewać
Taką wdzięczną, rajską, nową,
Że będziecie nad nią płakać,
Jakby bobry.... Daję słowo!

Kum kumowi przyrzekł święcie
Oddać stówkę z wiosną nową...
Lecz nie oddał, choć czas minął,
Choć honoru dawał słowo!...

Inny przyrzekł zorać pole,
Za stodołą, za Maćkową,
Lecz nie zorał, pole leży,
Choć honoru dawał słowo.

A znów inny tak przyrzekał:
Wyjść do żniwa na robotę, na lipcową;
Lecz któby tam słowo spełniał,
Więc nie wyszedł, choć dał słowo.

I ten temu, ten tamtemu,
Tak przyrzeka to i owo.
Bez namysłu, bez rozwagi
Zapewnienia daje słowo.

I tak kłamstwem plami usta,
Przyrzekając to i owo,
Brzydki zwyczaj, brzydcy ludzie,
Precz z takimi! daję słowo!

*Ant. St. Bassara.*

## ZŁOTE MYŚLI.

Udzielaj majątku potrzebnym; szafarzami jesteśmy tego, co nam Bóg użyczył.

*Biskup Ignacy Krasicki.*

Zwykle człowiek zhardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje,
Więc też kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi i powagę schyli.

*Jan Kochanowski.*

Bóg nas nie stworzył na jęki bezsilne, ale na pracę w pocie czoła i serca: cierpieć i pracować.

*J. K. Kraszewski.*

Jest to dość powszechne, ale zupełnie mylne przekonanie, jakoby praca odbierała człowiekowi siły. Przeciwnie przy pracy, skóra grubieje, kości się rozrastają, ciało gęstnieje, cały człowiek staje się tęższym, a tem samem zdrowszym i silniejszym.

*Józef Supiński.*

Lubię piękny krój sukni, ubiory galowe,
Byle do nich stosownie umeblować głowę.

*K. Brodziński.*

Przyjaciele w naszym czasie,
Jak wskazówka na kompasie:
Gdy pogoda, cień się trzyma;
Jak pochmurno, to go niema.

*St. Jachowicz.*

Skarb dla spokojnego życia jest, nie życie dla zbierania skarbu.

*Samuel Otwinowski.*

# Wzrok ofiary.

(Powieść z francuskiego).

## I. Zbrodnia.



— Dom pana Bernadeta? Tam, na końcu ulicy, na prawo... ten dom z kratą i ogródkiem. Na rogu ulicy!...

Człowiek, któremu jakiś przechodzień udzielił tych wyjaśnień, przyspieszył kroku i próbował pędzić, mimo, że już był bez tchu ze zmęczenia, w kierunku domu. Ta uliczka z poczerniałych ze starości domów, prowadziła do pełnych gwaru, ożywionych przez tłumy, ulic zewnętrznych. Sama była spokojna, opuszczona i smutna.

Człowiek, spieszący tam, sprawiał wrażenie robotnika, ubranego jak do pracy w dzień powszedni. Był przysadkowaty, łysy i szedł z gołą głową, mimo, że na ziemię zlewał się deszcz październikowy. W rzeczywistości był rzemieślnikiem, krawcem, co sporządza suknie męskie „na miarę“, przyjmuje reperacye, prasuje i czyści ubrania. Równocześnie był też stróżem domu; żona jego pilnowała domu, zamiatała schody i żaliła się na swój los. Nazywał się Monisz.

Życie było w oczach stróżki czemś bardzo brzydkiem i ciężkiem. Sarkała na los, który nie chciał spełnić jej życzeń. Mając lat 18 i będąc bardzo ładną, można mieć nadzieję, że nie postarzeje się przy boku pokurcza-krawca, w pokoiku stróża domu! Gdzież się jednak te lata podziały! Mimo to życie jej zapełniło się niezwykłemi zajściami, a dzisiejsze popołudniu mogło już w zupełności zadowolnić wymagania jej niezwykłych rzeczy.



— Gwałtu! Pan Rower zamordowany!...

Oto, wchodząc przed kilku minutami do mieszkania p. Rowera, spostrzegła, że leży na plecach, wyciągnięty, z oczyma otwartemi, z rękami skrzyżowanemi na piersiach i... z przerżniętą szyją.

Pan Rower mieszkał w tym domu od lat ośmiu, był kawalerem, nie miał żadnych krewnych, nie przyjmował wizyt i zachowywał się wogóle, można powiedzieć, nader tajemniczo. Dozorczyni domu miała klucze od mieszkania w przechowaniu, mogła wchodzić i wychodzić, kiedy się jej podobało, a pan Rower prosił ją często, aby czytała mu dzienniki. Teraz wszedłszy, kobieta stanęła słupem, potem zaczęła krzyczeć:

— Gwałtu! Pan Rower zamordowany! Pan Rower ma na szyi olbrzymią ranę!

Kobiecina biegła potem do męża, krzycząc po drodze na całe gardło:

— Policya! Policya! Zawołajcie policyi!

Słowo „policya“ nie obudziło w krawcu myśli, iż należy udać się do urzędu policyjnego. Przeciwnie, przyszedł odrazu na pomysł, że jedynym człowiekiem, którego należy zawołać, który może udzielić jakiej dobrej rady, że zatem jedynym człowiekiem, niezbędnym na razie w tej sprawie, jest tylko pan Bernadet, uważany za rodzaj geniusza policyjnego,*) a oddający często ubranie do naprawy dozorcy. Z domu, gdzie mieszkał Monisz, było kilka kroków zaledwie do domu Bernadeta, a krawiec znał tę drogę dobrze, nieraz bowiem udawał się osobiście do niego. Ale tym razem biedny człowiek był tak zmieszany nagłem zjawieniem się żony i niespodziewanem odkryciem zgonu pana Rowera, że stracił zupełnie głowę. Zacinając się i bełkocąc, pytał przechodniów o adres pana Bernadeta, mimo, że równocześnie spieszył w zupełnie dobrym kierunku. Nogi, wierniejsze w służbie od głowy, niosły go same tam, gdzie trzeba.

Znalazłszy się przed kratą domu, stanął poczciwiec, aby się uspokoić. Krew uderzała mu do głowy. Był niesłychanie wzruszony. Morderstwo w jego domu, w spokojnym domu, powierzonym jego opiece! Morderstwo w biały dzień, nad samą jego głową, w chwili, gdy najspokojniej szył jakiś piękny surdut!

Zanim przyłożył rękę do dzwonka, stał i patrzył na domek pana Bernadeta, siedzącego właśnie z rodziną przy śniadaniu; była to niedziela, a wczoraj właśnie — jak sobie Monisz przypominał — powiedział pan Bernadet, że dziś jego imieniny. Za kratą widział ogródek, w którym dwa krzaki zrzucały z siebie ostatnie liście. W ogródku, w głębi, stał domek, stara budowla, która w swoim czasie służyła zapewne za mieszkanie jakiemu dzierżawcy albo strażnikowi celnemu...

Moniszowi zdawało się naraz, że spokój tego cichego domku zakłóci fatalnie, niespodziewanie. Że zaś był z natury bardzo nieśmiały, przeto stał i wahał się, co uczynić.

— Ha, trudno — pomyślał wreszcie. — W tej historyi jeden tylko Bernadet może dać jakąś radę.

*) Ajentem policyjnym nazywa się w miastach człowiek, który wyszukuje zbrodniarzy i donosi o tem komisarzom.

Pociągnął za dzwonek. Za chwilę krata otworzyła się i Monisz mógł wejść do środka. Przeszedł mały ogródek, wszedł po stopniach do budynku, gdzie na progu spostrzegł małą okrągłą kobiecinę, z serwetką w ręku, czerwoną jak jabłko, która powitała go wesoło:

— Cóż to się stało, panie Monisz, że pana widzimy u siebie?

Była to pani Bernadetowa, żona ajenta policyjnego, ładna kobieta lat może trzydziestu pięciu. Zwróciła się na bok, aby zrobić miejsce we drzwiach Moniszowi.

— Chciałbym pomówić z panem Bernadetem... Muszę mówić z panem Bernadetem... — bąkał Monisz, tocząc błędnym wzrokiem dokoła. Był tak zmieszany, że nie wiedział, co mówi.

— To będzie łatwo — oświadczyła gospodyni — Mąż mój jest w ogrodzie. Korzysta z pogody i fotografuje. Wiesz pan przecie, że jest namiętnym fotografem-amatorem. Proszę za mną.

Pani Bernadeta wskazała stróżowi drogę, prowadzącą przez korytarz do ogródka. Tam przy stole ogrodowym korzystał ajent policyi, pan Bernadet ze święta w ten sposób, że zgromadził troje swych dziewczynek dokoła stołu i ustawił naprzeciw aparatu fotograficznego. Wszystkie trzy stały spokojnie, tuląc się do matki.

— Gdyś pan zadzwonił — zwróciła się gospodyni do Monisza — szłam właśnie do pokoju, aby przynieść sobie serwetę, z którą będę fotografowana.

Koło aparatu stał sam Bernadet, człowieczek nizki, okrągły i różowy jak jego żona i podobnie jak ona wesołego z natury usposobienia. Miał małe, rude wąsiki, małe, chytre oczki, był ostrzyżony przy samej skórze. W tej chwili dawał Moniszowi znak, aby się zatrzymał i nie przeszkadzał.

Przed aparatem stały trzy dziewczynki, najstarsza mogła liczyć lat dziesięć, najmłodsza pięć. Ojciec ustawił je według wzrostu, kazał trzymać ręce przy sobie. Wszystkie były do siebie tak podobne, jak bliźnięta.

Bernadet korzystał ze święta, aby fotografować córki. On, szpieg, polujący od rana do nocy na włóczęgów i złoczyńców po jaskiniach i zakątkach Paryża, zażywał spoczynku w swoim ogrodzie, używając w ten sposób ostatniego pięknego dnia melancholijnej jesieni. Wynagradzało mu to denerwującą pracę, straszne i nużące gonitwy za ludźmi po Paryżu.

— No — rzekł, zamykając aparat — skończyliśmy. Możecie iść się bawić — dodał. — A panu czem mogę służyć, panie Monisz?

Dzieci pobiegły do matki, która wśród pieszczot poprawiała im wstążeczki na głowach, a Bernadet patrzył tymczasem przenikliwym wzrokiem na Monisza.

— Coś się musiało stać! — pomyślał sobie, spostrzegając pomięszanie niezwykłego gościa.

— Jesteś pan blady jak płótno! — odezwał się wreszcie, widząc, że Monisz ociera pot z czoła i nie może się zdobyć na pierwsze słowa.

— Ach, panie Bernadet — odezwał się zagadnięty — mam dość powodów do zblednięcia. Pomyśl pan tylko: w moim domu popełniono morderstwo!

— Morderstwo?

Twarz Bernadeta, tak wesoła przed chwilą, przybrała wyraz dziwnie poważny i wytężonej uwagi. Niebieskie oczy zajaśniały jeszcze przenikliwiej niż zwykle.

— Tak jest, panie Bernadet... Morderstwo... Czy nie zna pan pana Rowera?

— Nie.

— Mówiłem panu raz o nim. Tak mi się przynajmniej zdaje: dziwak, samotnik... I jego zabili!... Przed chwilą wchodzi żona do jego pokoju, aby mu przeczytać gazetę, aż tu...

Bernadet przerwał nagle gadatliwemu poczciwcowi:

— Kiedy to się zdarzyło?

— Nie wiem, trudno wiedzieć, panie Bernadet... Wiem tylko, że trup był jeszcze ciepły, gdy moja żona go znalazła... Ona nie boi się niczego... dotknęła zwłok...

— Jeszcze ciepły...

— Słowa te zaskoczyły, jakby się mogło wydawać, Bernadeta. Chwilą, jedną sekundę namyślał się, a potem rzekł;

— Dobrze. Chodźmy zatem.

I, jakby go coś tknęło, dodał:

— Aparat fotograficzny wezmę ze sobą... Tak to będzie dobrze...

— Mam jeszcze trzy płyty fotograficzne w zapasie — dodał. — Mogą się nam przydać.

Żona Bernadeta bawiła się niedaleko, w tym samym ogródku z dziećmi. Dostrzegła ona odrazu, że Monisz przyniósł jakąś ważną wiadomość. Poznała to z twarzy Bernadeta, która przybrała nagle wyraz zasępiony i stroskany, a oczy poczęły się mu błyszczeć.

— Wychodzisz? — spytała smutnie.

— Tak jest — odpowiedział.

— A, mój Boże! A cóż będzie z naszą niedzielą! Przecie dziś mieliśmy zaprowadzić dzieci do teatru!

— Nie wiem, czy będę mógł pójść z wami.

— Obiecaliśmy im przecież! Biedne małe! Tak się cieszyły!

— Cóż na to poradzić? Nie wiem, czy pójdę... Zresztą zobaczę jeszcze. Nie zawsze w życiu idzie wszystko według życzenia. Co prawda, mój kochany Monisz, to dziś są moje urodziny. Skończyłem okrągłe lat czterdzieści... Obiecałem dzieciom zaprowadzić je do teatru, bo byłem wolny od służby. Ale wrócę do domu, wrócę... Chodźmy jednak do pana Rowera!



Bernadet ucałował żonę w czoło, uściskał dzieci i udał się za Moniszem, który biegł bez tchu prawie i na pytania inspektora odpowiadał od czasu do czasu:

— Jeszcze ciepły, panie Bernadet... Tak jest, jeszcze ciepły...

———

## II. Ajent.



Dziwnym policyantem był pan Bernadet. — W oryginalnym świecie tych ajentów, zebranych z pomiędzy ludzi wszelkiego rodzaju, a oddających się z tak bohaterskiem nieraz poświęceniem swemu zawodowi, mógł ten mały człowieczek, który wszystko czytał i wszystko chciał wiedzieć, robić wrażenie człowieka, który chce zostać uczonym. Bezpośredni zwierzchnik jego, pan Lerisz, mówił też nieraz z uśmiechem:

— Bernadet! Ostrożnie! Mnie się zdaje, że pan jeszcze kiedy zostaniesz dziennikarzem!

— Nie, panie Lerisz! — odpowiedział Bernadet. — Do tego nie przyjdzie. Przyznaję jednak, że mnie jakoś wszystko interesuje!

Bernadet w istocie przyszedł na świat z węchem wyżła. Gdyby był otrzymał wyższe wykształcenie, zostałby zapewne uczonym, takim mólem książkowym. Ale to nie przypadło mu w udziale. Jako syn mleczarzy z pobliskiej wioski, uczęszczał do szkoły ludowej, czytał chciwie popularne pisemka i już za młodu starał się zbadać wszystkie tajemnice Paryża. Wysłużywszy w wojsku, wstąpił do straży policyjnej; krok ten był dla niego tem, czem dla innych podróż do Chin albo do Ameryki: chciał zobaczyć coś nowego. Nieco później ożenił się, aby w tem niebezpiecznem, wytężającem i niespokojnem życiu mieć spokojny kąt, podporę i wypoczynek. Życie jego dzieliło się też na dwie połowy; jedną był żywot poczciwego mieszczanina, który w ustronnym domku pielęgnuje kwiatki na grządkach swego ogrodu; druga obejmowała wieczne wysiłki wyżła, puszczonego na pole. W domu zajmował się nadto Bernadet uzupełnianiem wykształcenia: czytał stare książki tanio kupowane i tym sposobem jego krótko przystrzyżona, okrągła głowa zapełniała się tysiącem wiadomości, które wprawdzie piętrzyły się bezładnie jedne na drugich, lecz w końcu łączyły się w obrazy.

Bernadet żył tylko żądzą wiedzy. Z przyjemnością spełniał nużącą i nieraz wstrętną pracę swego zawodu, bo zadawalniała ona najsilniejszy popęd jego natury; zresztą, pracując w ten sposób, miał sposobność wszystko widzieć, wszystko słyszeć, dostawać się wszędzie. Zmieniał nieustanie swój wygląd twarzy i ubrania.

Dziś, ubrany w czarny frak i biały krawat pilnował w teatrze złodziei, którzy kradną podczas przedstawienia: jutro w brudnych, podartych łachmanach śledził za jakimś mordercą, w którejś z „mordowni“ przedmiejskich. Pojutrze, z dumną miną wstępował do domu wszechwładnego bankiera, aby skonfiskować księgi handlowe; milioner wsiadał z policyantem do jednej dorożki...

Gdyby Bernadet chciał mówić!... Ale nie mówił, nie mówił nigdy, a dziennikarze, czychający, aby go wybadać, musieli odchodzić z niczem.

— Mowa jest srebrem, lecz milczenie złotem, odpowiadał policyant.

Wybornie znane mu były nazwiska wybitniejszych szulerów i oszustów karcianych. Znał wszystkie szynki, gdzie zbierają się „koledzy“, aby pomówić o „interesach“.

Znał tym sposobem najgłębsze warstwy Paryża, jaskinie, do których słońce nie dochodzi, gdzie miliony ludzi przewala się nakształt fal olbrzymiej rzeki. Znał, jak mało kto, obyczaje i życie tych, którzy w tych jaskiniach rozmnażają się i giną.

Bernadet nie był ambitnym. Poczciwa żona jego wniosła mu w posagu niewielki mająteczek od rodziców i Bernadet zadowolił się tą małą, skromną i względną niezależnością pieniężną. Wydawało mu się, że jest aż nadto potężny. Przecież w danym przypadku mógł był schwycić za kołnierz nawet dostojnika!

Pewnego razu zdarzył mu się przy aresztowaniu przypadek, zdolny rozweselić nawet policyanta. Szło o aresztowanie pewnego znanego finansisty pod zarzutem nieczystych sprawek. Bernadet miał polecenie spełnić rozkaz bez zwracania uwagi podwładnych. Zadzwonił i po chwili bankier i policyant znaleźli się oko w oko naprzeciw siebie, sami, w biurze wyłożonem dywanami, tak iż na zewnątrz żaden odgłos nie mógł się przedostać.

— Dam panu pięćdziesiąt tysięcy koron, jeżeli mi pozwolisz uciec — rzekł bankier.

— Pan baron żartuje.

— Sto tysięcy!

— Żart większy jeszcze, lecz zawsze tylko żart...

— A gdybym tak panu całkiem poprostu roztrzaskał łeb z tego rewolweru?... — spytał bankier pobladłszy i drżąc cały.

— Moi koledzy czekają na dole — odparł spokojnie Bernadet. — Wiedzą dobrze, jak długo może trwać nasza rozmowa. W razie, gdyby pan strzelił, to sprawa jego jeszczeby się pogorszyła.

W dwie minuty później wychodził bankier mówiąc do podwładnych urzędników:

— Niedługo wracam, moi panowie...



...Dojrzał w głębi czarną kupę ludzi...

Dwa kroki za nim postępował Bernadet, z odkrytą głową z oznakami najgłębszego uszanowania.

Tak to obracał się Bernadet w wirze życia paryskiego. Gdyby zechciał ten dar spostrzegawczy, tak chwalony przez swych zwierzchników, obrocić na własny pożytek, miałby już pokaźny majątek; myślał jednak tylko o spełnianiu obowiązków, o wychowaniu dzieci i o troskliwej miłości względem żony, którą nieraz wprawiał w zdumienie nadzwyczajnymi historyami ze swych wypraw. Pani Bernadet była dumną z męża.

Teraz spieszył Bernadet szybkim krokiem ku mieszkaniu Rowera. Monisz, towarzyszący mu, obcierał sobie co krok gęsty pot z czoła. Krawiec, znalazłszy się na rogu, dojrzał w głębi czarną kupę ludzi i rzekł:

— Już się dowiedzieli o nieszczęściu! Patrz pan. Gromady tam stoją...

Bernadet stanął i patrzył na zgromadzenie. oblęgające dom, w którym leżał Rower.

— Mamy wejść do tego domu... — rzekł do stróża. Bardzo pięknie. Masz pan zawsze prawo zawołać kogoś na pomoc. Ja nie jestem jednak osobą dość wysoką... Musisz pan zawiadomić komisarza policyi.

— Oh, panie, Bernadet! — wtrącił Monisz — pan jesteś więcej wart, niż wszyscy komisarze policyi razem wzięci!

— Nie o to teraz idzie. Komisarz jest komisarzem, urzędnikiem państwowym i koniec. Zawiadom go pan o tem, co zaszło.

— Ależ skoro pan tu jesteś...

— Ale ja nie jestem niczem, zupełnie niczem w tym wypadku! Tu potrzeba osoby urzędowej.

— Więc pan nie jesteś osobą urzędową?

— Jestem najzwyklejszym t a j n y m szpiclem*) policyjnym — odparł Bernadet z najzimniejszą krwią w świecie.

I przeszedł na drugą stronę ulicy.

Sąsiedzi otoczyli zamkniętą bramę, jak muchy garnek z miodem. Z czarnego tłumu zebranych dobywał się głuchy pomruk. Zebrała ich tutaj tajemnicza siła przyciągająca zbrodni. Kobiety rozmawiały głośno, wynajdując nagle całe romanse i trudne do wiary wiadomości, tyczące się zbrodni. Jacyś młodzi ludzie, którzy znaleźli się w tłumie, robili pospiesznie notatki.

W chwili, gdy Bernadet ze stróżem zbliżali się do domu, nadjechała dorożka, z której wyskoczył jakiś człowiek.

— Gdzie jest pan Lerisz? Chcę mówić z panem Lerisz!

Naczelnik policyi Lerisz jeszcze nie został uwiadomiony, więc oczywiście nie mógł przybyć. Człowiek ten, wymachując gwałtownie rękami, przyłączył się do Bernadeta, którego natychmiast poznał i wśliznął się za nim do sieni, przez na pół otwarte drzwi, których Monisz bronił, jak twierdzy przed atakiem tłumu.

— Musisz pan zawołać policyantów — oświadczył Bernadet. — Inaczej tłum napadnie na nas i wedrze się do środka.

Na schodach stała żona Monisza. Po raz setny właśnie opowiadała, jak to znalazła Rowera z poderzniętem gardłem.

— Chciałam właśnie pójść przeczytać mu gazetę... Powieść... Rower zajmował się bardzo tą powieścią... Właśnie przyszliśmy do miejsca, jak baron wyzywał pułkownika amerykańskiego na pojedynek... Jeszcze wczoraj biedak rozmawiał ze mną o tem:

— Ciekawy jestem, kto też padnie... Pułkownik, czy baron?

Bernadet przerwał te rozmowy.

— Pani Monisz, czy jest tu kto, kogoby można posłać po komisarza?

— Jakto?

— Czyż nie rozumiesz — dodał Monisz — że pan Bernadet potrzebuje osoby urzędowej? Czy to tak trudno zrozumieć?



— Komisarz! Aha — myślała głośno Moniszowa. — Prawda! to całkiem naturalne, że potrzeba osoby urzędowej. A może ja sama mogłabym pójść?

— Dobrze, ale z warunkiem, że otwierając bramę, nie pozwoli pani wedrzeć się do domu.

— Niech pan się nie boi.

Kobiecina była szczęśliwa, że pozwolono jej odegrać tak ważną rolę. Przecież miała powiedzieć komisarzowi policyi, co zaszło. Mogła powtórzyć znowu wszystko.

Za chwilę szła ku bramie, a równocześnie Bernadet kroczył na drugie piętro w towarzystwie Monisza, nie troszcząc się wcale o młodzieńca, który przyleciał na miejsce wypadku z największą szybkością, do jakiej byłby zdolny koń dorożkarski; szło o zdanie sprawy gazecie, w której był zajęty.

— W gruncie rzeczy — myślał sobie ajent — każdy człowiek musi żyć. Po co mu przeszkadzać w tem zajęciu?

Trzej ludzie: ajent policyi, dziennikarz i Monisz weszli na drugie piętro. Prowadził ich stróż, trzymając w ręku klucze.

Otwarłszy drzwi do mieszkania Rowera, usunął się na bok, aby pozwolić wejść Bernadetowi. Za ajentem wsunął się jak wąż dziennikarz, nie doznając żadnej przeszkody ze strony Bernadeta.

Ten był widocznie zwolennikiem metody swych przełożonych, którzy chętnie czynią dziennikarzom małe ustępstwa, aby mieć życzliwość prasy w razie potrzeby na swe usługi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

***Rolnicy! Rozszerzajcie „Rolę" wśród Przyjaciół! Piszcie komu wysyłać numery na okaz!***

---

*) Szpicel, przezwisko ajentów policyjnych.

# KRONIKA.

## *Od Redakcyi.*

Wszystkim Kochanym Czytelnikom i Przyjaciołom naszego pisma, którzy nam przysłali życzenia świąteczne i noworoczne zasyłamy serdeczne „Bóg zapłać!“ Dobrocią pisma, doborem i obfitością treści będziemy starali się odwdzięczyć za wyrazy uznania i za życzenia.

Rozsyłkę kalendarzy rozpoczęliśmy z dniem dzisiejszym tym Prenumeratorom, którzy już nadesłali prenumeratę za cały 1910 rok. Ktoby więc prenumeratę już posłał a kalendarza lub „Roli“ nie otrzymał, niech natychmiast napisze list z reklamacyą. Listu takiego opłacać nie trzeba, ale nie należy też zaklejać go, lecz nad adresem napisać trzeba koniecznie „reklamacya“.

Ponieważ „Kalendarz Powszechny“ jaki dajemy naszym całorocznym Prenumeratorom jako podarek jest bardzo piękny, a wskutek tego drogi, bo kosztuje w księgarniach 2 K, przeto otrzymać go mogą tylko ci, którzy przyślą całoroczną prenumeratę. Zapas kalendarzy mamy już niewielki, prosimy więc o szybkie nadsyłanie prenumeraty.

Zamówione czeki, mimo żeśmy aż telegrafowali o nie, jeszcze nie nadeszły z Wiednia. Wobec tego wyślemy je dopiero z numerem 3-cim. Tym, którzy się zgłosili, numer dzisiejszy wysyłamy i przyszły też wyślemy.

---

**Sejm krajowy** galicyjski został zwołany na wtorek dnia 11 stycznia i obradować będzie przez kilka tygodni. Będzie to dalszy ciąg sesyi jesiennej, która została odroczoną, a nie rozwiązaną.

**Wielkie nieszczęście na kolei** wydarzyło się po świętach na Morawie pod stacyą Uhersko. Pociąg pospieszny, jadący z Wiednia do Pragi, wpadł na pociąg towarowy, jadący do Wiednia. Stało się dlatego, że przez wielką mgłę maszyniści nie mogli się widzieć z daleka i zobaczyli się dopiero wtedy, gdy już było za późno. Pociąg pospieszny całym pędem wpadł na pociąg towarowy i maszyna pociągu pospiesznego wbiła się w maszynę pociągu towarowego. Pierwsze cztery wagony pociągu pospiesznego zostały wyrzucone z szyn i zupełnie rozbite, wagon wiozący pocztę, wyskoczył także i przewrócił się, jakby był lekkiem pudełkiem. Zderzenie się było tak silne, że drewniane części pociągu pospiesznego rozrzucone zostały na odległość 20 metrów.



Podróżni do ostatniej chwili nie spostrzegli grożącego im niebezpieczeństwa. Po zderzeniu zaczęły się z wagonów pociągu pospiesznego dobywać jęki i wołania o pomoc. Podróżni, którzy wyszli cało, albo odnieśli tylko lekkie rany, wydobywali się z uszkodzonych wagonów przy pomocy służby kolejowej i wieśniaków którzy zbiegli się ze wsi i z pól. Ciężko rannych wydobywano z trudem i zanoszono do poczekalni dworca. Zabitych jest **19** osób, **20** odniosło ciężkie rany, a **20** osób lekkie. Maszynista i palacz pociągu towarowego w ostatniej chwili zdołali wyskoczyć z maszyny i ratować się ucieczką.



Silne wagony pociągu pospiesznego zostały rozbite na drzazgi, jeden z wagonów leżał kołami do góry, a wszystkie żelazne i stalowe konstrukcye były pogięte i połamane, jak źdźbła słomy. Obie maszyny przedstawiały bezkształtną masę, a poza niemi leżały zniszczone wagony. Ziemia była głęboko zorana. Ostatnie dwa wagony pociągu pospiesznego pozostały na szynach, ale drzwi były zgięte i nie dały się otworzyć, skutkiem czego podróżni wydostawali się oknami.

Straszne wrażenie wywarł widok wydobywanych szczątków zwłok. Krwawe ręce, nogi i głowy składano na boku, a równocześnie wyciągano strasznie pokaleczonych podróżnych. Nadto zaczęły palić się wagony, co zwiększyło jeszcze popłoch, ale na szczęście, zdołano pożar rychło ugasić.

Podajemy tu dwa obrazki, rysowane na miejscu nieszczęścia. Pierwszy zrobiony jest po zderzeniu, gdy przerażeni podróżni zaczęli się wydobywać się z wagonów, jak kto mógł. Jedni szukają swoich, inni, poranieni zbierają się z wysiłkiem na nogi, inni znowu biegną z pomocą drugim. Drugi obrazek przedstawia stosy żelaziwa i drewna, rysowane od strony stawu, do którego wpadł kawałek rozbitych pociągów.

**Dwuletnia służba wojskowa** zaprowadzona będzie na stałe może już w tym roku. Specyalna komisya opracowała już projekt ustawy. Jeżeli ta ustawa wejdzie w życie, to parlamenty będą musiały uchwalić o 40.000 rekruta więcej niż dotychczas, razem około 150.000, gdyż stan pokojowy armii nie może się zmniejszyć. Oprócz tego będą musiały być podwyższone wydatki na wojsko, aby z nich opłacić więcej oficerów i podoficerów. Jeżeliby wszystko poszło gładko, tegoroczni rekruci zaczęliby w październiku dwuletnią, a nie trzyletnią służbę. Mała jednak jest na to nadzieja, wobec lichej pracy Rady państwa i zapewne ustawa będzie się odnosić dopiero do tych, co rozpoczną służbę w roku przyszłym, 1911.

**Poraniony za brata.** Słuchacz praw z Krakowa spotkał pod Giebułtowem dwóch bitników z tej wsi: jednego parobka, drugiego żołnierza, którzy oddawna czuli nienawiść do brata owego akademika, iż żeni się z najbogatszą dziewczyną ze wsi, na którą wielu dorodnych parobków czekało. Sądząc, że to ów szczęśliwy narzeczony, postanowili w imieniu wszystkich zawiedzionych zemścić się srodze na wrogu. Wszczęli więc z przeciwnikiem bójkę, w której tak poranili owego słuchacza praw po twarzy bagnetem i nożem, że oba policzki, obficie ociekające krwią, wyglądały jak jedna

rana, a poodcinane płaty skóry zwisały w strzępach. Akademik padł ofiarą pomyłki, gdyż krwawą kąpiel miano sprawić jego bratu. Rannego powieziono do Krakowa, awanturnikami zaś zajęła się żandarmerya, aresztując obu.

**Śmierć pod lodem.** Straszny wypadek wydarzył się na Warmii w Prusiech polskich. Bogaty kmieć Gustaw Katanek, jadąc w drugie święto Bożego Narodzenia do swego szwagra, jechał dla skrócenia drogi saniami po cienkim lodzie jeziora kalbeńskiego. Na saniach znajdowała się także żona i dwoje dzieci Kantaka. Nagle lód się załamał i cała rodzina wraz z zaprzęgiem poszły na dno jeziora.



Nieszczęście zauważono dopiero następnego dnia. Zwłoki dzieci znaleziono pod lodem w pobliżu miejsca wypadku. Zwłok rodziców dotąd nie wydobyto.

**Pies pijak.** Śmieszną historyę opowiadają gazety lwowskie. Do piwiarni przyszedł jakiś mężczyzna z psem i kazał sobie podać duże piwo a psu małe. Wszyscy się zadziwili i spoglądali co będzie? Chłopak przyniósł oba kufle i postawił na stole. Pan zaczął pić swoje, pies też wlazł na stołek, przedniemi łapami sparł się na stole i popijał, jak to ludzie robią. Upił już z połowę szklanki którą posunął tak, że chciała spaść ze stołu. Przyszedł chłopak obsługujący i posunął szklankę dalej ku środkowi, aby nie spadła. Pies się zezłościł i ukąsił chłopaka w rękę. Wrzasku robił coniemiara, ciskał się i szczekał na ludzi. Potem pił resztę piwa, ale już się nie uspokoił i hałasił bez ustanku. Wszyscy goście widzieli, że jest pijany i kazali, aby jego pan, który się tymczasem też upił, wyniósł się za drzwi a ze sobą zabrał i swojego psa.

**Całowanie zmarłych** bywa bardzo niebezpieczne. Pokazało się to na następującym wypadku: Na folwarku Skierniewice pod Wilnem zachorowało fornalowi małe dziecko na zaraźliwą chorobę gardła, zwaną krup. Na czwarty dzień dziecko zmarło. Przed pogrzebem całowało chłopaka rodzeństwo, czworo dzieci. W przeciągu tygodnia wszyscy pomarli na krup. Rodzice też chorowali, zwłaszcza matka, ale ozdrowieli.

**Żywa pochodnia.** Siedmioletnia Pietniakówna, sierota po gospodarzu w Wojsławicach pod Kielcami w Królestwie, mimo dziecięcego wieku jest służącą u karczmarza, Mojżesza Bergmana, nie mając ojca ani matki, którzy ją żywili. Przed kilku dniami dziecko zbliżyło się do pieca kuchennego, aby odstawić z blachy garnek. Od ognia zajęła się spódnica i dziewucha stanęła w płomieniach. Zaczęła w niebogłosy krzyczeć i wzywać ratunku, wbiegli karczmarze z familią, ale bali się poparzyć i nikt nie uratował nieszczęśliwego dziecka, które w strasznych mękach życie skończyło, spaliwszy się na węgiel.

**Kłopoty najbogatszej kobiety.** Pani Harriman. wdowa po głośnym amerykańskim „królu kolejowym" i jego jedyna spadkobierczyni, ma — jak donoszą z Ameryki — nielada kłopoty... Po swoim zmarłym mężu odziedziczyła pani Harriman drobnostkę 500 milionów koron. Okrzyczano wtedy czcigodną wdowę za „najbogatszą kobietę świata". Pani Harriman zmartwiła się bardzo tym przydomkiem i ze swej strony ogłosiła wszem i wobec, że nie chce być „najbogatszą kobietą". Ażeby się „zubożyć", postanowiła p. Harriman oddać się wyłącznie dziełom miłosierdzia i dobrym uczynkom — zapowiedziała też, że jej wspaniały pałac w Nowym Jorku zmieni się niebawem w wielki przytułek dla wszystkich ubogich i cierpiących... Gdy już pani Harriman poczyniła wszelkie przygotowania do wielkiego dzieła, mającego ją tak zubożyć, naraz dowiaduje się, że prawnicy, obliczający spadek po jej ś. p. mężu, pomylili się co do wysokości spadku i że spadek ów wynosi nie 500, ale 750 milionów koron! Skromna wdowa, dowiedziawszy się o tem, była niepocieszona. postanowiła zatem swój przyszły warsztat dobroczynności urządzić jeszcze większym, niż pierwotnie zamierzała... Nie dość tych jej kłopotów. Przyszedł większy. W czasie tych szlachetnych postanowień, właśnie w tych dniach, dowiaduje się, iż papiery, w których umieszczony spadek po „królu kolejowym", nagle tak podskoczyły w cenie, iż skromna i lękająca się bogactw pani Harriman posiada dzisiaj nie 750, ale 1.100 milionów koron majątku! Pani Harriman jest podobno w rozpaczy... Nie wiadomo jeszcze, jak skończą się te ciężkie kłopoty pani Harriman!.. Może się okaże, że ma całe półtora miliarda? Może aż dwa?!

**Zbój jako zakonnica.** W okolicy wsi Lepie, w środkowej Francyi zaczęły się od jesieni wydarzać ciągłe wypadki strasznych morderstw i rabunków, na drodze ze wsi do pobliskiego miasteczka. Straciło już życie kilkunastu ludzi, a jeszcze nikt nie wiedział, kto jest zbrodniarzem. Wiedziano tyle tylko, że zabici mieli strasznie porozbijane głowy kamieniami i że zbóje po zabiciu zabierali wszystko, co było coś warte na zabitym.



W końcu, przed kilkunastu dniami wydało się, kto to morduje spokojnych, samotnych wędrowców. Raz znaleziono takiego człowieka oblanego krwią, ale udało się go doprowadzić do przytomności i ten opowiedział dokładnie, jak to było. Szedł sobie drogą, pod lasem i spotkał zakonnicę ogromnego wzrostu. Pozdrowił ją imieniem Bożem i mijał, ale ta nagle chwyciła go pod gardło i ugodziła weń strasznym ciosem w głowę. Wtedy poznał że to nie zakonnica ale drab przebrany, ale było za późno: dostał znowu cios ramieniem w głowę i upadł bez przytomności. Obudzili go dopiero ludzie, w pięć godzin potem, w rowie, do którego zawiódł go zbój wypróżniwszy kieszenie. Teraz żandarmerya już wie, jakiej podłej sztuki używa zbój i stara się wykryć,

kto to przybiera się w poświęcone Panu Bogu suknie, by popełniać czyn piekielny.

**Raj dla więźniów.** Odbywanie kary więziennej w Szwarcaryi jest wogóle dużo lżejsze, niż we wszystkich innych krajach. Ale są tam niektóre więzienia, gdzie łagodność posunięta jest do ostatnich granic. Za najprzyjemniejsze uchodzi więzienie w miasteczku Sarnen. Pewien gość zagraniczny spacerując po miasteczku, spotykał co pewien czas po kilku lub kilkunastu ludzi w jednakich obcisłych ubraniach niebieskich, w czapkach mundurowych. Jedni z nich zajęci byli przy budowie domu, inni robotą w ogrodzie, a jeszcze inni spacerowali.



Zaciekawiony, spytał kogoś z mieszkańców, co to są za ludzie i zdziwił się niemało, gdy się dowiedział, że są to więźniowie, którzy korzystają z wielu swobód, pod warunkiem, ażeby na oznaczoną godzinę powracali do więzienia.

Bardzo to ładnie, mieć poczciwe serce dla bliźnich, nawet gdy są zbrodniarzami, ale zachodzi pytanie, czy to dobrze, dawać więźniom takie wygody jak jakim chorym w szpitalu? Czy to odstraszy ich na drugi raz od złego czynu? Lepsze chyba są więzienia angielskie, gdzie więźninów dobrze żywią i odziewają, ale wymagają ciężkiej pracy i posłuszeństwa, a gdy nie posłucha który i próżniaczy, to jego plecy łatwo się z batem spotykają. Tam z pewnością nikt nie pójdzie do więzienia na przezimowanie i wywczasy.

# Zagadki do nagrody.

### 1. Zagadka.

Błyszczą do słońca, gdy sianożęcie,
Albo też gwiżdżą w lesie zawzięcie.

### 2. Szarada.

Pierwsze-drugie — napój znany,
Drugi z trzecim — bez sprzeczności
W kuchni bywa używany,
Cały — w słowo zaś związany,
Znowu częścią jest całości.

### 3. Zagadka.

Co jest starsze: żyto czy jęczmień i dlaczego?

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy w nagrodę pp ładnej książeczcc. Nagrody będą losowane z pomiędzy tych, którzy rozwiązania nadeślą. Termin nadsyłania rozwiązań do **17 stycznia** 1910 r. Adres: Kraków, Rynek główny l. 8. Redakcya „Roli“.

Rozwiązanie zagadek z n-ru 1-go będą w n-rze 3, z n-ru 2 w n-rze 4.

**Ceny bydła** na targowicy krakowskiej w dniu 4 stycznia (wtorek) 1910 r.:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Buhaje | Kor. | 100 | do | 200 | za sztukę |
| Woły z paszy | „ | 140 | „ | 350 | „ |
| Krowy | „ | 100 | „ | 121 | „ |
| Jałówki | „ | 42 | „ | 120 | „ |
| Cielęta | „ | 20 | „ | 80 | „ |
| Świnie | „ | 140 | „ | 153 | za 100 kg. |

**Ceny zboża** na targu Kleparskim w Krakowie dnia 4-go stycznia (wtorek) 1910 r.:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Pszenica | Kor. | 13·40 | do | 13·80 | za 50 kg. |
| Żyto | „ | 9·50 | „ | 9·80 | „ |
| Jęczmień | „ | 7·60 | „ | 7·80 | „ |
| Owies | „ | 7·60 | „ | 7·70 | „ |
| „ lepszy | „ | 8·— | „ | 8·10 | „ |

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Leon Malczyk w B.: Prenumerata zapłacona rzeczywiście do 1 lipca 1910 r., ale „Kalendarz Powszechny“ ten tylko dostać może, kto przyśle prenumeratę z góry za cały rok. Jeżeli otrzymamy jeszcze 2 K za drugie półrocze, natychmiast „Kalendarz“ wyślemy. P. Jan Orfin w K.: Za poparcie dziękujemy, jeżeli całoroczna prenumerata od Pana nadejdzie, Kalendarz wyślemy. P. Stanisław Uryga w Ż.: Czek wyślemy i prosimy o popieranie „Roli“. Po otrzymaniu prenumeraty Kalendarz poślemy natychmiast. P. P.: Jan Wilk w O., Stanisław Socha w P., Józef Czerniejewski w P., Jan Baryła w W., Sebastyan Rogowski w N., Szczepan Sanįeįtra w Z., Ludwik Gajewski w P. „Rolę“ wysyłamy. Gdy tylko otrzymamy prenumeratę, natychmiast Kalendarz wyślemy. P. Jędrzej Kozdęba w D. Za piękny list serdecznie dziękujemy. Wiadomość o straży pożarnej założonej w listopadzie przyszła zapóźno. Drugi list zużytkujemy później. Znamy waszego Pana kierownika szkoły osobiście i mamy nadzieję, że razem z Wami zechce „Rolę“ popierać. Kalendarz posyłamy tylko prenumeratorom i to całorocznym, a warto go otrzymać, bo można się w nim wiele pięknych i ciekawych rzeczy doczytać. P. Franciszek Gwóźdź w P. L. (Śląsk austr.) Wysyłamy. P. Jakób Śmietana w Ł. „Rolę“ wysyłamy. Czeki dołączymy do nr. 3. Po otrzymaniu prenumeraty „Kalendarz“ wyślemy. P. Jan Skopiński w L. Czynimy zadość życzeniu. Czeki za tydzień.

Całoroczną prenumeratę nadesłali: PP. ks. Czesław Królikowski w D.; Stanisław Górz w Sz., M. Rydel w N. (8 K Do Kółka w Rożniatach będziemy posyłali), Roman Madeyski w M., Jan Cieśla w B., Sebastyan Jakubiec w T., ks. Fr. Małek w K., Ignacy Baran w G., Ludwik Sowa w G., ks. Jędrzej Mucha w O., Józef Sporysz w K., Stanisław Florek w G., Stanisław Flisek w N., Józef Stokfisz w B., Jan Hopek w D., Jan Gasidło w N., Iózef Podoba w K., ks. Fr. Wąsowicz w G., Piotr Dziadkowiec w B., Urząd parafialny w Osiece, Stanisław Wójcik w O., Włodzimierz Sroczyński w B., Kazimierz Bielski w Cz., Jan Skopiński w L. (wysyłamy). (Z Firlejówki p. Krasne otrzymaliśmy 6 kor. bez nazwiska. Prusimy odwrotnie podać nazwisko i dlaczego 6 kor. posłano?) Wojciech Szelernik w B., ks. Antoni Rychel w M., Kasper Pudło w M., Jan Firlit w R., Jakób Trębla w K., A. Poniński w K., ks. Walento Dziatkowiec w R. Franciszek Fularz w Z., Jnn Machner w P., Sebastyan Widzisz w M., Ludwik Doliński w N., Józef Gadzicki w O., Piotr Treter w N. (8 kor.), Henryk Dolański w R., Jan Biliński w D., Kajetan Węgrzyn w M. P., August Gorajski w M. (20 kor.), Leopold Kosiński w M., Walenty Pacześniak w D., Antoni Zając w S., Wojciech Bober w H., ks. Antoni Skalski w R., ks. Franciszek Fijśś w W. (8 K), Leszek Cieński w O., Kajetan Zytkiewicz w W., Antoni Trębka w K., Franciszek Danek w W., Karol Dyrdusiak w W., Michał Sikora w G.

Antoni Trojar w B.; Feliks Ciejka w O.; Jan Rogowski w H.; Jan Wójcik w Sz.; Stanisław Miłoraj w Sz.; Sebastyan Musiał w D.; Antoni Konieczny w N.; Grzegorz Gardzilewski w O.; Stefan Kozicki w S.; Mieczysław Jaszczurowski w G.; Andrzej Koczan w Z.; Andrzej Brach w P.; Franciszek Migdał w S.: Jan Prząda w Ł.; Antoni Knap w L.; Józef Maślanka w Rz.; Jakób Bieniek w O.; Wojeiech Wiśniewski w S.; Michał Rybacki w Cz.; Związek katolicko Społeczny w Zaleszanach (12 K); Zbigniew Horodyński w Z. (8 K); Franciszek Jordan w Sz.; Ks. Aleksander Radziwił w G.; Wojciech Wąchel w P.; Jan Kałuski w W.; Jan Stróż w R.; Michał Zając w B.; Piotr Wątor w Z.; Franciszek Byrdziak w K.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Ks. Jan Figner w S.; Jan Żak w T.; Ks. Wojciech Rogoziewicz w U.

### ZE SZKOŁY.

Nauczyciel: Jutro będę wam opowiadał historyę o Kolumbowem jajku; każde zatem niech przyniesie ze sobą świeże jajko, a ktoby nie miał jaj w domu, może przynieść parę ziemniaków.

### KRZYWOPRZYSIĘZCA.

Sędzia: Musimy świadka zaprzysiądz.

Głos kobiecy: Niech mu pan sędzia nie wierzy! On i mnie przysięgał, a nie ożenił się.



Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.